

K.M. Wojewodzic

Czarne dziury charakteru





Delikatny wiatr rozmazywał
na ich twarzach niesiony
ze sobą zapach. Tchnęło latem,
przygaszonym słońcem,
dziką tęsknotą.

*...Where did all the blue
skies go?; Poison is the wind
that blows from the north
and south and east...*

Obserwowali przyptyw, wydech
ziemi. Morze było spokojne,
a horyzont szeroki. Podpierając
się na łokciach, z wyciągniętymi
przed sobą nogami rozkoszowali
się chwilą. Krótkim, tak pięknym
wycinkiem życia. Tym bardziej
miłym, że w świadomości
obojga niewiele znaczącym.

Nie wierzyli już bowiem
ani w ciepło promieni słońca,
ani w siłę wiatru,
ani w ludzi, ani ludziom.
A najmniej w świat.

Fragment książki

*Dryfują niczym czarne dziury,
niewidoczni dla siebie nawzajem.*

Pracownik na etacie dusi się w codzienności,
Gwiazda Wielkiego Formatu ubolewa nad płytkością
percepcji słuchaczy, tymczasem parze biegaczy
wewnętrzne burze rujnują dopiero co zbudowane mosty.

Przeszłość powraca, tłumione emocje uwierają
i palą pod powierzchnią, a poczucie niedopasowania
zamyka ich we własnym świecie.

Dwanaście przewrotnych, ironicznych, a czasem
nostalgicznych opowiadań dotyka uniwersalnych ludzkich spraw:
samotności, miłości i rozczarowania.

Każde z nich, inspirowane fragmentami utworów grupy Pink Floyd,
to inna odśłona literackiego układu gwiazd i planet.

Muzyka staje się przewodnikiem w kosmosie uczuć,
uzupełniając historie i odślaniając to, co przemilczane.



Sorus®

PRZEJDŹ
do księgarń online:
www.sorus.pl

K.M. Wojewodzie

Czarne dziury charakteru



Redaktorka prowadząca: Agata Sikorska-Olszowa
Redakcja: Katarzyna Sadowska-Dobrowolska
Korekta: Dorota Brzostek
Projekt okładki: Maciej Piedo
Skład i łamanie: Olga Dziuba

Copyright © by K.M. Wojewodziec 2026

Copyright © by Sorus® 2026

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości
bądź fragmentów niniejszego dzieła bez pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

ISBN 978-83-68466-22-5 książka

ISBN 978-83-68466-23-2 e-book

Wydanie I, Poznań 2026

Printed in Poland

Twoja opinia jest dla nas ważna! Zachęcamy do podzielenia się wrażeniami
po lekturze tej książki i dodania swojej oceny: www.sorus.pl/opinia

Masz pomysł na książkę lub gotowy tekst? Opublikuj swoje dzieło ze wsparciem
wydawnictwa i dołącz do grona naszych autorów: www.sorus.pl/dlaautorow

Wydawnictwo Sorus


DM Sorus sp. z o.o.


ul. Bóźnicza 15/6, 61-751 Poznań


tel. +48 61 653 01 43

e-mail: sorus@sorus.pl

Księgarnia internetowa: www.sorus.pl/sklep

 www.sorus.pl

 [dmsorus](https://www.facebook.com/dmsorus)

 [wydawnictwosorus](https://www.instagram.com/wydawnictwosorus)

SPIS TREŚCI

Słońce	7
Merkury	17
Wenus	25
Księżyc	39
Ziemia	42
Mars	62
Jowisz	71
Saturn	87
Uran	97
Neptun	110
Pluton	119
Lilith	135
Baśń o czarnych dziurach	166

Słońce

*I lay me down.
All around me, golden sun flakes settle on the ground,
Basking in the sunshine of a bygone afternoon,
Bringing sounds of yesterday into this city room.*

Pink Floyd, *Grantchester Meadows*

Część 1.

Cichosza wkoło. Zapomniana willa chowa się skromnie za otwartymi, brunatno-bordowymi parasolami sumaka ocetowca. Lichej jakości furtka odstrasza z daleka, zniechęcając do wejścia. Tuż za nią ukryta w zieleni ścieżka ginie gdzieś pośród zabudowań.

Posiadłość tę nabyli kilka lat temu, szukając spokoju i bezruchu. Zdecydowali się od razu, choć zdawali sobie sprawę, że doprowadzenie nowego lokum do stanu świetności, którym niewątpliwie chwaliło się przed laty, kosztować będzie nieco więcej niż zaangażowanie.

Od pierwszych chwil pokochali wiekowe drzwi ozdobione mosiężną klamką. Zauroczyły ich małe, szafirowo-fioletowe witraże, wieńczące portal i okna werandy. W złotym, jesiennym

słońcu wyglądały najpiękniej. Promienie wpadały do tej prowizorycznej oranżerii, w powietrzu plątały barwy, a potem rozlewały się na ścianach. Popijali herbaty, przesiadując tam tak długo, aż czas na dobre mieszał się z przestrzenią.

Posesja, znajdująca się w niewielkiej odległości od centrum miasta, ulokowana była pomiędzy krótkimi, rzadko uczęszczanymi uliczkami, w sąsiedztwie kilku innych prywatnych rezydencji. Wejść można było przez dwie niezależne furtki, różnymi drogami, które w środku łączyły się w jedną, przecinającą ogród ścieżynkę.

Podczas gdy sam budynek, szczelnie odseparowany od cywilizacji, poskramiali nieśpiesznie we własnym rytmie, ogród dyktował swoje warunki. Onieśmiał. Pełno w nim było wybujałych, malinowo-jeżynowych zarośli, konarów drzew owocowych, walących się bezładnie bądź wdzięcznie przeplatających się ze sobą.

W centralnej części, między szarymi renetami i konferencjami, puszył się niemłody już, rozłożysty klon. Przydomowy ogród pielęgnowali uparcie przez wszystkie dwanaście miesięcy, ale to drzewka owocowe przysparzały najwięcej kłopotów: oszalałe jabłonie płodziły cyklicznie kilogramy dzieci; śliwy na przemian chorowały i pozbywały się gałęzi lub obradzały zawzięcie; kompostownik przerabiał tony rodzącej się na nowo trawy. Przesadzanie, podcinanie, obieranie, wycinanie, podwiązywanie. I liście, pełzające pod wpływem wiatru niby mrówki...

W głowach przewijali projekty aranżacji przestrzeni: „Dziką różę zostawimy, a te krzaki wyrzucimy...”. Szybko przekonali się, że nieruchomość przypomina dziecko

i wymaga całodobowej opieki, dyskretnie teleportując właścicieli do innego stanu umysłu.

Z czasem przyzwyczaili się do pracy. Byli pod wrażeniem zmian, jakich mogą dokonać własnymi rękoma.

...Oto znowu dni ruszyły; Serce bije mocno, szybko...*

– Akustyczna wersja też nie jest najgorsza... – skomentował sam do siebie, przeszukując szafkę z narzędziami.

I w tym roku jesień dopisywała: była długa, ciepła, sielska. Idealna do motorowych wycieczek w tereny znane i te nadal nieodkryte.

Był w świetnym nastroju, przygotowując sprzęt do następnego wyjazdu. Nie przeszkadzały mu samotne wojaże. Zbierał się o świcie, kiedy drogi dopiero oczekiwały na swoich niedzielnych gości. Objeżdżał okolicę, robiąc pętlę, mniejszą lub większą. Powrót planował szczegółowo, nisko skulone, morelowe zachody należały do jego ulubionych widoków. Kiedy tylko miał możliwość, forsował ten styl wojażowania podczas sporadycznych, grupowych wypraw.

Od dobrych kilku godzin z mozołem i prawdziwym oddaniem konserwował maszyny. Dogłądanie dwóch jednośladów naraz nie było dla niego żadnym wyzwaniem. Praca pochłonęła go bez reszty. Najpierw wykręcał, czyścił, smarował. Później uzupełniał, dokręcał, polerował. Wosk pokrywał każdą powierzchnię, ubóstwiał to. Udawało mu się w tych chwilach zasmarować nawet mózg, lubował się bowiem w uciekaniu od myślenia. I tylko obrazy go nawiedzały.

* Budka Suflera, *Z dalekich wypraw*, 1975.

Znajomy szlak serpentyn, z jednej strony zakończony uskokiem i błękitem morza, z drugiej – kremowymi, wystającymi dość agresywnie skałami. Żadnego łęku, pomimo niedawnych przygód z dziurawym bakiem, brak przyszłości, przeszłości, czarne dziury nie istnieją. Sunęli traktem przed siebie... Beztroscy kontemplowali rozciągnięte w czasie okamgnienia. Rude dachy zamkniętego murem miasta, otoczone laguną nieba oraz wody, wyłaniały się zza zakrętu.

...Jak dziwna to chwila, brakuje słów...*

Ocknął się, znowu był w garażu. Czarne od smaru dłonie wytarł niedbale w nogawki spodni. Poczuł znużenie i nieodpartą potrzebę odpoczynku. Uznał, że mu się należy – nazajutrz wyprawa, a już słyhać było powolnie kroczący schyłek dnia. Poza tym planował jeszcze uporządkować posesję, zdążył bowiem uzależnić się od widoku należycie wypielęgowanego trawnika.

Odszukał w szopce wachlarzowe grabie i wkroczył w zieloność niczym torreador na arenę, pełen wiary w swoje siły i miłość do pracy.

* Budka Suflera, *Memu miastu na do widzenia*, 1982.

Część 2.

Poddał się po kilkunastu minutach. Wrócił do domu i dziwnie wyczerpany snuł się po pustych pokojach. Wreszcie trafił do kuchni, która przeraziła go nieskazitelną czystością i opuszczeniem. Szerokie okno wychodziło wprost na ogród. Postać chwilę oparty o szlachetny, kamienny blat. Klon był już szkarłatno-pomarańczowy. Sięgnął w końcu po kolejną puszkę Żywca i – coraz bardziej zdołowany – wyszedł.

Usadowił się na skrzypiących, wiklinowych kanapach, wygrzewających się beztrosko na tarasie. Babie lato wisiało na tujach i płocie. Zaczął zastanawiać się, gdzie podziały się aksamitki, które w tamtym miejscu cyklicznie lśniły bursztynem, miedzią i cynamonem. *Pewnie je wycięła. Zawsze robi coś bez mojej wiedzy, absolutny brak porozumienia...* – rozżłościł się błyskawicznie. *Dlaczego tak się rządzi, przecież dom jest wspólny?!*

Poczuł złość tak wielką, jak wtedy, gdy spierała się z nim o sprawy, o których nie miała pojęcia – w tych tematach czuła się najlepiej. Na przykład: jak czyścić motor, gdzie uciąć gałąź drzewa, kiedy kosić trawę. *Piekielna Domina, we wszystkim najlepsza...* – nie mógł przerwać natrętnych myśli, wewnętrzny głos nakręcił się wyjątkowo mocno – *bez szacunku, żadnego autorytetu...*

Ale z drugiej strony, przecież to dlatego za nią szalał. Kolekcjonował fotografie, na których widać, jak hucpa błyszczący w jej oczach. Na czerwonym Ducati i z pogodą w garściach skupiała uwagę absolutnie każdego.

Gdzieś, kiedyś, ścigali się na prostej drodze, gdy niespodziewanie, absolutnie znikąd zmaterializował się samochód. Biały pick-up, fatalny wrak, gruchot, porażka. Za kierownicą normalna kobieta, tyle że jej głowa, ułożona poziomo, wychylała się przez opuszczoną szybę okna. O mało nie wpadli do rowu, kiedy ich mijala. Kilcumetrowe blond włosy w odcieniu plastiku wysypały się poza samochód po zewnętrznej stronie i zamiatały karoserię, brudną, rdzawą. Jej perłowa cera odbijała słońce, a karmazynowe usta wykrzywił upiorny uśmiech... Wszyscy ją widzieli, aczkolwiek nikt nie dowierzał zmysłom.

Zassany przez fotel, klikał na przemian w oba smartfony i co rusz rzucał okiem na pejzaż przedostatniej pory roku.

[plum]
~hej~

[plum]
~hej~

Klon, dumny pomnik przyrody, stał niewzruszony, manifestując swoje władztwo nad tą ziemią. Jak zawsze o tej porze, czarował barwami. Dopiero całkiem niedawno spowił się czerwienią. Nie dalej niż w ubiegłym tygodniu jedynie drobne części jego korony były delikatnie zamoczone w ceglastym barwniku. Ten jednak niepokojąco szybko rozlał się przez kanaliki i dziś okrywał całość listowia.

[plum]
~ co robisz? ~

[plum]

~siedze na tarasie, a ty?~

Uwielbiała kwiaty i jesienne kontrasty. Ten sezon niezaprzeczalnie należał do pstrokatek jakobinek, których rzeka ciągnęła się wzdłuż płotu. Ulokowane w pobliżu murów domu, rabaty tonęły w ametystowych astrach marcinkach. Kępy żółto-białych lwich paszcz witały nieproszonych gości tuż przy bramie. Tak, była wyczulona na barwy. Albo przeczulona. Rubinowa rafa wrzosów ożywiła się nagle pod wpływem wiatru. Zmrużył powieki, bezwiednie zacisnął dłoń w pięści. Szczęk gniecionej puszkii stłumiła rozmyta wizja.

Przemierzali niekończącą się, ozłoconą lipami aleję. Byli całą gromadą, z nim na czele. Nikomu nie musiał tego tłumaczyć. Nikomu poza nią. Deszcz promieni słonecznych zalewał ich od wielu godzin, lakier połyskiwał luksusowo. Lapis lazuli zazdrościł niebu barwy. Czyste, przejrzyste, wymarzone tło. Spodziewał się, że pojawi się obok. Rozkoszowała się łamaniem zasad, niesubordynacja bawiła ją. Gwałtownie wyrosła przed nim, bez słów zarządzając postój. „Widok wołał ją o uwiecznienie...” – takie uzasadnienie padło kilka chwil później. I oto wszyscy stracili prawie trzydzieści minut, a on dodatkowo kieszeń godności. Ciężko było nad tym zapanować, jeszcze ciężiej strawić.

Dość często był zmęczony wyklócaniem się o każdy szczegół. Właściwie udało im się dotrzeć do etapu, kiedy miał jej

szczerze dosyć. Męczył się walką, którą uważał za zupełnie zbędną. Wręcz nieracjonalną. Do rozpaczki doprowadzały go drobnostki, te szuflady dynksów poupychane w różnych częściach domu. Tupanie piętami, dudniące w czaszce każdego dnia...

Siłą naprawiali sobie nawzajem światy, próbowali uprościć je chociaż do granic przystępności. Pieczołowicie segregowali sprawy i myśli do pudełek: czarne, białe, różowe. Tracili siły witalne, tak niewiele zostawało im na życie, które od zarania świata jest naturalne i łatwe: jesz, śpisz, czujesz, wyrażasz.

Lekarstwem na tę przykrą chorobę charakterów okazało się amatorskie ogrodnictwo. Pasja, którą cenili wyżej niż upodobanie do świętej wojny. A czterem ścianom z trawnikiem, w których zakochali się bez pamięci, oficjalnie poprzysięgli miłość do grobowej deski.

Oprzytomnił go dopiero wilgotny, jesienny chłód – wieczór, który zapadł miękko i cicho.

[plum]

~umyj garki, plesnieja od wczoraj~

[plum]

~ok~

[plum]

~i tak cie Kocham~

[plum]

~a ja ciebie~

Część 3.

Cholerne ptaki znowu go obudziły. Robiły to regularnie, nie wiadomo dlaczego. Czym im podpadł? Zapalił nocną lampkę. Leżał na kołdrze w roboczych ciuchach. Próbował sobie przypomnieć, jak znalazł się w sypialni. Twarz patrzyła na niego. Rzucił się wściekle do szafy, zaczął wyrzucać ubrania, które ewidentnie w niczym nie zawiniły. Przekopując półki, zło-rzeczył w myślach, dałby sobie rękę uciąć, że to gniazdo tam jest. Słyszy kwilenie, skrobanie, obłążą go te głosy z każdej strony...

Zrezygnowany wrócił do łóżka. Ułożył się wygodnie i patrzył, przyglądał się jej. W złotej ramie wyglądała arcydostojnie. Doskonałe, posągowe rysy na atramentowym tle. Wtarta w granat, czarna, madonnopodobna. Oczy zielono-brązowe patrzyły bez wyrazu, a jednak oceniająco. Po głowie lały się długie, proste włosy. Wiśniowe, idealnie wykrojone usta, zastygły na ułamek sekundy, nim preformowały się w grymas. Spostrzegł nareszcie coś, co tym razem zaintrygowało jego podświadomość. Szafranowy, cienki maz świecił z płótna, przywieszony do ucha spływał wzdłuż smukłej szyi. *Pięknie kontrastuje ze sobą żółty i niebieski...* – stwierdził.

Dostała ten obraz od pierwszego chłopaka, wielkiej miłości. Płótno było z nimi od lat. Aktualnie wisiało na kremowej ścianie niczym poroże. Upragnione trofeum niebiańskich zawodów.

Część 4.

Jadą nieskrępowanie pod egidą szczęśliwej gwiazdy... Wyprzedzanie tirów, norma. Co się stało? Jak? Kiedy? ...*I can't stop shaking**... Odwrócił się, a wtedy czas na zawsze sfermentował z przestrzenią. Widział ją w górze. Motor leciał. Frunął ponad głowami. A kadłub – piękny, lekki – zastygł w eterze. Miała rację, modre niebo było doskonałym tłem. ...*my hands won't stop shaking***... Ciężar dostawczych maszyn napierał na siebie, masa bezładnie kręciła kołami w poprzek. Jej ciało, piernikowy ludzik, rozsypało się na drodze. ...*my arms won't stop shaking**** ...

Purpurowe chryzantemy otwierają w nocy swoje korony, faszyny na rzece piszczą z oddali, ostatnia jesienna mucha lata koło ucha.

...*my mind won't stop shaking***** ...

* The Sound Defects, *War*, 2008.

** Tamże.

*** Tamże.

**** Tamże.